

GRZEGORZ PRZEBINDA

O nowych powieściach Saszy Filipienki, wybitnego białoruskiego pisarza żyjącego w Szwajcarii, którego książki wydano w 16 językach, ale jeszcze nie po polsku, pisze tłumacz i historyk idei.

KREMULATOR WIECZNIE ŻYWY

Aleksandra Filipienkę, urodzonego w 1984 roku w Mińsku białoruskiego pisarza – tworzącego głównie po rosyjsku – poznałem lepiej w lipcu 2022 r., gdy ukazała się jego powieść „Kremulator”. To już została w dorobku Filipienki, obok m.in. debiutanckiego „Byłego syna” (2014) poświęconego tragedii w metrze mińskim na stacji Niemiga, gdzie 30 maja 1999 r. zginęło w potwornym ścisku 53 ludzi, oraz pasjonującego „Czerwonego krzyża” (2017). „Kremulatora” poznałem natomiast z takim samym poruszeniem, jak ongiś za studenckich lat „Oddział chorych na raka” Aleksandra Solżenicyna, „Wiernego Rusłana” Georgija Władimowa czy „Wszystko płynie” Wasilija Grossmana.

Żona zdrajcy

Wcześniejsza powieść Filipienki „Czerwony krzyż” to mówione wspomnienie 91-letniej Tatiany Aleksiejewny, będącej w pierwszym stadium alzheimera. Opowieść snuta w obecności młodego człowieka – narratora tej powieści. Wiekowa Tatiana swą młodość pamięta wyśmienicie. Urodziła się w 1910 r. w Londynie, ale w 1919 r. wraz ojcem, który uwierzył w „świełą przyszłość”, wyjechała do sowieckiej Rosji. Dzięki znajomości języków dostała pracę w ówczesnym MSZ w roli piszącej na maszynie tłumaczki. Podczas wojny przechodziło przez jej ręce mnóstwo dokumentów, w tym listy do władz ZSRR od Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który proponował pośrednictwo w wymianie jeńców między ZSRR a Niemcami, Włochami i Rumunią. Stalin i spółka wszystkie te propozycje niezmiennie odkładali ad acta. Pew-

nego dnia na pozyskanej od Czerwonego Krzyża liście jeńców Tatiana znalazła nazwisko swego męża. Bojąc się, że będzie teraz sama represjonowana wraz córeczką, nie przepisała nazwiska męża na rosyjską listę, umieszczając tam za to podwójnie kogoś innego.

Los wszelako i tak ich dopadł – męża Tatiany po powrocie z wojny rozstrzelano, ona zaś sama jako „żona zdrajcy” trafiła do łagru, a odebrana jej córeczka umarła z głodu w sierocińcu. Tatiana w 1945 r. wyszła z łagru, ale cały czas dręczyło ją pytanie, czy ów człowiek, którego wpisała do rosyjskiej kartoteki jeńców aż dwa razy, nie zapłacił aby za to swoim życiem? I odnajduje go wreszcie już w 2000 r. gdzieś koło Permu, ciesząc się, gdy słyszy odeń, że ani on, ani jego rodzina represjonowani nie byli.

Jednakże już po śmierci bohaterki owego mężczyzną w okolicach Permu odwiedza narrator powieści. I dowiaduje się, że to właśnie ów człowiek był winowajcą śmierci męża Tatiany. Doniósł bowiem śledczym po wojnie, że jej małżonek opowiadał w niemieckiej niewoli, iż „towarzysz Stalin to potwór taki sam jak Hitler”. A Stalin niewinnych do łagrów nie wsadzał: „Mówią teraz, że były represje, że wszystkich wysyłali do łagrów, tam rozstrzelali, ale niczego takiego nie było! Mnie wezwali na przesłuchanie dwa razy, byli bardzo grzeczni, a gdy im wszystko opowiedziałem [to znaczy doniósł], zwolnili do domu. Ludzi uczciwych władza radziecka nigdy nie tykała”.

Z pomocą Memoriału

Pracując nad „Kremulatorem”, Sasza Filipienko zdążył jeszcze posiedzieć solidnie w archiwach Moskwy, przy czym olbrzymi materiał udostępniło mu też tamtejsze Stowarzyszenie

Memoriał. Przewędrował zarazem szlakiem głównego bohatera trasę do Saratowa nad dolną Wołgą, do Paryża, Stambułu i Warszawy. Centralną figurą powieści jest bowiem postać autentyczna – Piotr Niestierenko (1886–1942), rodowy szlachcic, urodzony w siole Lubotin w guberni charkowskiej, który był na froncie I wojny światowej, a w październiku 1917 r., po ucieczce Aleksandra Kiereńskiego z Rosji (przewodniczący Rządu Tymczasowego Rosji w 1917 r., który zbiegł z kraju po wybuchu rewolucji październikowej), bronił Gaczniny pod Piotrogrodem przed bolszewikami. W drugiej połowie 1918 r. współpracował w Kijowie z Ukraińską Centralną Radą, a zaraz potem walczył w szeregach Białej Armii gen. Antona Denikina. W maju 1920 r. wyemigrował Morzem Czarnym – przez Saloniki – do Serbii, potem przez trzy lata tułał się po Bułgarii, Niemczech, Polsce, Turcji, aby osiąść wreszcie w Paryżu. Tam też miodu nie zakosztował, zaraził się za to bolszewicką propagandą. W 1923 r. został zwerbowany przez OGPU, sowiecki wywiad, a w 1926 r. wrócił do Związku Radzieckiego.

I już w Moskwie na Nowym Cmentarzu Dońskim był od 1927 r. dyrektorem pierwszego w ZSRR krematorium, zorganizowanego w zamkniętej przez bolszewików cerkwi św. Serafima Sarowskiego. Niestierenko inspirację zdobywał w Paryżu, jako że osiedlił się tam w dzielnicy obok nekropolii Père-Lachaise, gdzie go zaintrygowało cmentarne krematorium. Będąc jeszcze na froncie, nie mógł znieść widoku rozkładających się ciała i trupiego zapachu na polach bitew, tak że pomysł globalnego spopielenia zwłok zawiązał umysłem tego emerytowanego pułkownika. Jego marzenia było zgodne z linią komunistycznej partii, która propagowała kremację – wbrew, dodajmy, stanowisku prawosławnej Cerkwi – jako „pochówek oświecony”...

Presłuchania i aresztu dokonują 23 czerwca 1941 roku. Trwa to wszystko sześć godzin. Zwykła robota, tyle że atmosfera nerwowa – dopiero w przeddzień ogłosili wojnę. Na razie twierdza brzeska wytrzymuje niewyobrażalny napór faszystowskiej maszyny, stolicę Związku Radzieckiego obejmuje fala niedostrzegalnych konfiskacji. W mieszkaniach i parkach, w instytucjach i ministerstwach aresztują potencjalnych szpiegów. Nie bacząc na planowany rozmach przedsięwzięcia, zatrzymań nie jest aż tak wiele – aresztują ledwie 1077 ludzi, w których czujne organy radzieckie dopatrują się zdrajców i trockistów, bakteriologicznych dywersantów i „innych” (istnieje i taka rubryka). Liczba w sumie nic nie znacząca, dlatego że z większością łączników rozprawili się jeszcze w 1937 roku, gdy tylko za podejrzenie o współpracę z Polską na rozstrzelanie skazano ponad 100 tysięcy ludzi (chcąc być ścisłym – 111 091 obywateli). Rzeczywista załoga polskiego wywiadu, rozsiana po całym świecie, nie liczyła wtedy nawet 200 osób, ale co zrobić. Ty przecież wiesz – kochana – że nasze gorliwe organy likwidują na zapas, nie oglądając się siebie. „Lepiej być ponadto czujnym niżeli czujnym za mało” – przekopując moją bibliotekę, rzuca jeden z czekistów. (...) Wieczorem tego samego dnia przetrans-

Aleksander Filipienko

KREMULATOR

(fragmenty)

W powieści funkcjonuje retrospektywny porządek akcji, rozpoczyna się ona aresztowaniem 55-letniego Piotra Niestierunki, narratora utworu (tekst kursywą od tłumacza).

portowują mnie do wewnętrznego więzienia NKGB, gdzie mnie fotografują, przesłuchują do ankiety i odbierają rzeczy, jakie z sobą zabrałem.

NKGB to Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, wyłączony w lutym 1941 r. z NKWD i zajmujący się wywiadem zagranicznym i kontrwywiadem. Powieściowy śledczy Paweł Pierepielica „szyje” właśnie taką sprawę o szpiegostwo Niestierence i w końcu dopina swego. W utworze realność miesza się z fikcją, do tej ostatniej należy dziennik Niestierunki, spisywany podczas przesłuchań w Saratowie dla – również fikcyjnej – aktorki Wiery, w której bohater durzył się od młodości. Oto dialogi podsądnego ze śledczym z owego „dziennika”.

– Praca, trzeba powiedzieć, była zwyklesza – 70 procent dostarczonych to były martwo urodzone niemowlęta i bezimienni, przy czym zdarzały się także i dni interesujące. Czy wie pan,

obywatelu naczelniku, że to właśnie ja skremowałem Majakowskiego?

– Wiem, Niestierenko, wiem...

– Nie żebym chciał się przed panem chwalić, ale przecież poza wszystkim zrobiłem naprawdę wiele dla naszego kraju także i za dnia! Weźmy na przykład takiego Majakowskiego. O, nawet nie potrafię panu opowiedzieć, co działo się na jego pogrzebie! Ciężki, nerwowy był ów dzionek! Moskwę dosłownie sparaliżowało. Ludzie siedzieli na drzewach, nawet tramwaje zatrzymali! Za ciężarówką z trumną szło nie mniej niż 100 tysięcy ludzi!

– No już bez przesady...

– Mówię panu! Wszyscy ci niedouczeni, którzy w życiu ani linijki z Majakowskiego nie przeczytali i za skarby świata nie odróżnili go od Jesienina czy od Błoka, teraz postanowili hurmem zwalić się na pogrzeb. Gapiów było tylu, że milicja konna, odpychając tłumy od bramy

cmentarza, zaczęła nawet strzelać w powietrze! Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy, żeby tylko kogoś nie załatwili w tym ścisku, bo wtedy na pewno ciała przytaszcza do mnie, a nadliczbówki mi niepotrzebne!

– A coś ty, Niestierenko, robił, jeśli przychodziły ponadwymiarowe trupy?

– Ponadwymiarowe?

– No, powyżej mocy przerobowych...

– Nie, teraz coś takiego się nie zdarza.

A jeśli nawet, co z tego? To tylko dawniej w cerkwiach zawałali kaplice ciałami do wiosny, póki grunt nie zrobił się podatny. Na przykład w 1918 roku w Moskwie leżała cała hałda. Dur brzusny i plamisty, cholera, szkarlatyna. Trupy jak drewno w izbach dla pomarłych składowali. A wie pan, naczelniku, że po matuszce Rosji jeździł wtedy pociąg zbierający trupy wzdłuż torów? Nie?... A przecież tak było! W Moskwie truposzczaki górami po cmentarzach leżały, ale



ISA HARBIN / SIPA / EAST NEWS

Moskiewski Charon wypełniał gorliwie swą misję przez kilkanaście lat – za dnia spopieliał zwłoki umarłych śmiercią niepolityczną, często osób bardzo znanych, jak choćby np. w 1930 r. poetę Władimira Majakowskiego. A nocą kremował ciała rozstrzelanych ofiar NKWD. Z tych ostatnich – m.in. Grigorija Zinowiewa i Lwa Kamieniewa, rozstrzelanych w sierpniu 1936 r. przez Łotysza Piotra Maggo (kule, którymi ich rozstrzelano, przechowywał sobie wśród pamiątek inny kat – Henryk Jagoda).

Tymczasem w „Kremulatorze” – na zasadzie grobowej licentia poetica – Zinowiew z Kamieniewem zostali zabici bezpośrednio przez mrocznej sławy Wasilija Błochina: „– Zinowiewa i Kamieniewa rozstrzelał towarzysz Błochin... – A dlaczego jesteś tak pewny? – A bo to już widać było nawet gołym... – Mówże jaśnie! – Styl Wasilija Michajłowicza Błochina znam dobrze, a prace jego niezwykle sobie cenię. – W jakim sensie? – A w takim, że kula w tyle głowy przechodzi z góry na dół, a czaszka pozostaje nietknięta”.

Tę potworną sztukę zabijania prawdziwy Błochin wykorzystał w 1940 roku, gdy mordował „wyrafinowanym” strzałem w tył głowy polskich jeńców wojennych w podziemiach Obwodowego Zarządu NKWD w Kalininie nad górną Wołgą (dziś Twer). Kilka tygodni wcześniej rozstrzelał też pisarza Izaaka Babla i reżysera teatralnego Wsiewołoda Meyerholda.

Dodajmy, iż po swej całkiem naturalnej – choć i alkohol mu dopomógł – śmierci w 1955 r. spoczywa on sobie dziś spokojnie na tymże cmentarzu Dońskim, na prestiżowym miejscu przy bramie, a na jego rodzinnym grobie często pojawiają się kwiaty. Tymczasem wieloletni dyrektor pierwszego krematorium Niestierenko został aresztowany w Moskwie 23 czerwca 1941 r., nazajutrz po napaści Niemiec, przewieziony do lochu w Saratowie, tam osądzony i skazany na śmierć za szpiegostwo, a w sierpniu 1942 r. rozstrzelany. Teraz jego losy zrekonstruował z domieszką fikcji literackiej Sasza Filipienko, ujawniając zarazem skalę masowych zbrodni popełnianych w latach stalinowskich, jeszcze przed wojną.

Pole zawałone trupami

Dzielo tego wybitnego białoruskiego pisarza – dziś przetłumaczone na 16 języków, w tym na tajski i japoński (choć nie wydane jeszcze po polsku) – na łukaszenkowskiej Białorusi pozostaje, m.in. wraz z Orwellem, na nieformalnym, acz

realnym indeksie książek zakazanych. Sam twórca mieszka w niemieckojęzycznym kantonie Szwajcarii, skąd na łamach wysokonakładowej prasy Europy Zachodniej przedstawia prawdziwy obraz Białorusi, komentuje wojnę Rosji przeciw Ukrainie – w jakiej, niestety, bierze udział także i jego zniewolona ojczyzna. Nie tylko potępia obu agresorów, życząc Ukrainie pełnego zwycięstwa, czyli odzyskania wszystkich zagrabionych ziem wraz Krymem, ale i wplaca solidne datki na Ukraińskie Siły Zbrojne. Przewiduje zarazem po niechybnej, choć nierychłej klęsce Putina całkowity rozpad Federacji Rosyjskiej, a i jednoczesny upadek szalonego – jak sam mówi – Łukaszenki. To zaś umożliwi także jemu powrót na ojczystą Białoruś i zamieszkanie z rodziną we własnym wymarzonym domu pod ukochanym Mińskiem.

Na razie jednak ze swymi białoruskimi przyjaciółmi kontaktuje się głównie zdalnie, szukając także za pośrednictwem sieci wiadomości od żołnierzy ukraińskich z pierwszej linii frontu. W niedawnej rozmowie na youtube'owym kanale Chodorkowski Life młody rosyjski dziennikarz zadał mu arcytrudne pytanie: „Czy mogę potępiać wojnę, a jednocześnie w jakiś sposób sympatyzować z tymi ludźmi, którzy – po pierwsze – mieszkają w Rosji i nie stali się kanibalami, a po drugie – nie nawoływać do wieszania tych wszystkich rosyjskich żołnierzy, którzy świadomie albo mniej świadomie tam wojują?”. W odpowiedzi usłyszał: „Mam dzisiaj dostęp online do tych ludzi [Ukraińców], którzy wojują teraz bezpośrednio, no i tych, którzy oglądają [w sieci] Telewizję Dożd. Zadzwoń im i porozmawiaj z nimi, bo widzę, że im dalej są ludzie od linii frontu, tym bardziej zajadłe chcą wieszać etc. Zadzwoń im i zapytaj, jak się odnoszą do przeciwnika? Odpowiedzieli, „że to zrozumiałe, iż teraz odczuwają nienawiść wobec żołnierza rosyjskiego, bo na wojnie nie da się bez nienawiści”. „Jeżeli będąc żołnierzem Sił Zbrojnych Ukrainy, dzierzył będziesz w rękę automat i myślał jeszcze przy tym o jakichś wartościach wyższych, o humanizmie, to na froncie nic ci to nie pomoże. Tu panują inne reguły gry”. Ale zarazem zdradzili mi, że gdy przez lornetkę na celowniku widzą całe pole zawałone trupami żołnierzy rosyjskich, które zjadają psy, to odczuwają litość”.

Potworny, ciągnący się dalej epilog do „Kremulatora” Filipienki. /©©

Prof. Grzegorz Przebinda jest ruscystą i historykiem, wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także w Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Krośnie

dziś, obywatelu naczelniku, niczego takiego nie ma. Z trupami (oficjalnymi) wszystko jest teraz surowo przepisowe. Po pierwsze istnieją zamrażarki, a po wtóre, jeśli się zdarzy rzeczywiście jakiś nadmiar, to wtedy przecież można ładować do pieca po dwa ciała, jedno na drugie, jak kłody...

Trupy „oficjalne” to te kremowane za dnia zwykłe ciała obywateli, inaczej niżeli ciała ludzi rozstrzelanych przez NKWD. Na „kremacje oficjalne” wpuszczano na początku grupy chętnych z ZSRR dla celów edukacyjnych, ale „za biletami”.

– I co, mieszczą się w piecu od razu dwa?

– Tak... Tak... Wypróbowaliśmy to już dawniej, w czasach gdy jeszcze bilety sprzedawali...

– Co za bilety?!

– Wejściówki...

– Dokąd niby wejściówki? Do krematorium?

– No tak! Podczas pierwszych lat pracy, od razu po otwarciu, czyniliśmy wiele dla popularyzacji kremacji w ZSRR. Po całej Moskwie wisiały plakaty, w których głoszono, że kremacja to „idealny sposób pochówku”, „spełnia absolutnie wszelkie wymogi sanitarne”..., „rozwiązuje kilkusetletnie przesady”..., „oszczędza czas rodzinie”... Prócz tego, naprawdę uważaliśmy,

że dla oświecenia mas koniecznie trzeba pokazywać ceremonię maksymalnej liczbie zainteresowanych i dlatego sprzedawaliśmy bilety.

– Do krematorium na wycieczkę, czy na samą kremację?!

– Oczywiście, że na samą kremację!

– Jak to?

– A tak, że jeszcze dziesięć lat temu mógł pan kupić bilet i pooglądać sobie przebieg. Ludzie skądinąd bardzo chętnie przychodzili...

– Nawet jeśli nie był to krewny?

– Każdy kto chciał, mógł wejść!

– A jak można było obserwować kremację, jeżeli tam, jak rozumiem, klapy się zamykają?

– No jest przecież w piecu specjalny techniczny otwór, przez który widać, jak trup goreje...

– I co oni tam widzieli, ci ludzie, którzy kupili bilety?

– Różnie. W zależności od miejsca w tej ruchomej kolejce. Pierwsi widzieli, jak zapala się trumna, inni jak gorzeją tkanki kończyn, jak wypala się z resztek mięsa czaszka. Jednym wypadło obserwować, jak ta czaszka się rozpada, innym jak odpadają palce, ręce, jak nikną chrząstki żeber. Szczęśliwcy radowali się płonącym mózgiem. No i jeszcze można było obserwować, jak głowa oddzielała się od tułowia, ale potem już niczego interesującego nie było – ot, zwykle dopalanie, garść

popiołu. Zresztą szybko odstąpiłem od tej praktyki.

– A dlaczego?

– No, po pierwsze, krewni nieboszczyka nie bardzo się cieszyli tymi zastępami nieproszonych gości, a po drugie i ja sam byłem rozszereżony, bo zawsze mógł pojawić się jakiś cholernik, wymachujący kupionym biletym, z pretensją, że czegoś do końca nie obejrzał... O gdyby udało mi się sprzedać bilety na kremację Majakowskiego, to zarobiliśmyby więcej niż za cały stadion! A moglibyśmy to robić w miarę regularnie, bo przecież, prócz Majakowskiego, kremowałem na przykład poetów takich jak Pikiel, Kłyckow i Musatow, przy czym ostatni zostali rozstrzelani potajemnie, tak więc na nich i tak byśmy nikogo nie zaprosili...

– A tam byli tylko jego krewni?

– Gdzie „tam”?

– No, na pogrzebie Majakowskiego?

– A tam, tak... Tylko ta jego Lili Brik [kochanka poety, jednocześnie agentka NKWD] strasznie zawodziła... No to wziąłem ją ostrożnie na bok i pod dźwięki Międzynarodówki wyprawilem poetę w jego ostatnią drogę.

Jeszcze z dziennika bohatera.

To teraz pobawię się ze śledczym, sprawię wrażenie, że on to prawdziwy chłop, a ja wystraszony... Co nie zmienia

faktu, że takich jak ten Pierepielica przeszło przez me ręce dziesiątki tysięcy! Maszyniści i ślusarze, listonosze i brygadierzy, atleci i marynarze. Raz skremowałem 45 osób z Instytutu Pedagogicznego w Gorkim – dziekanów, docentów, studentów. Nocami przez mój piec przechodzili komsomolcy i członkowie Politbiura, Kosior czy minister finansów Czubar. Kremowałem polskich i jugosłowiańskich sekretarzy KC, dowódcę wojennego Tuchaczewskiego... Wszyscy oni uważali się za wszechmocnych, ale przychodził dzień, że każdego z nich przesyrywałem do kremulatora.

W ZSRR, tak samo jak później w niemieckich obozach śmierci, wykorzystywano w krematoriach piece firmy J.A. Topf & Söhne z Erfurtu, które wtedy nie wypalały wszystkiego, więc kości po kremacji mielono właśnie w kremulatorze. O tym poniżej ostatnia notatka w dzienniku Niestierenki – w stylu „ja wykonywałem tylko rozkazy”.

Moja funkcja była bardzo prosta – ciało załadowywałem, resztki kości mieliłem w kremulatorze. Potem zbierałem cały proch, wynosiłem na zewnątrz, wsypywałem do jamy. A cała reszta, to nie moje. Żadnych sowieckich praw nie naruszałem. Decydują towarzysze więksi, ja tylko stawiam kropkę na człowieczym losie.

Thumaczył Grzegorz Przebinda